TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel [illegible], **CHICAGO, ILLINOIS.**

PRENUMERATA ROCZNA [illegible]

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie..$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii...............$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 44. Chicago, Ill., Czwartek, 3-go Listopada, 1898. Rok XII.

FR. HOFFMAN.

HRABIA I NIEDŹWIEDZIARZ.

PRZEŁOŻYŁA.

PAULINA Z L. WILKONSKA.

(Ciąg dalszy).

W tem rozpadającem się gnieździe osiadł teraz Albin. Miał tylko jeden pokój, w którym i jednej całej w oknie nie było szyby; nędzne łóżko, parę krzeseł i stół, wszystkie jego stanowiły sprzęty. Chodził wśród gruzów, jakby sowa zgrzyźliwa, trawiony nudami i w niepohamowanej złości, rzucający przekleństwa na swojego szczęśliwego kuzyna Roberta — gdy on z niewygodami walczył.

I zaprawdę, że nader smutnem i nędznem było teraz jego życie. Towarzystwa nie miał żadnego, i ani jednej z owych rozrywek, o które hrabia Robert starał się dla niego. Z chłopami rozmawiać nawet niechciał, i rzadko też inne stworzenie ludzkie widywał. prócz chłopaka, na w pół idyotę, który dotąd jakoby murgrabią czyli rządzcą był zamku, a teraz całą jego stanowił służbę. Chłopczysko to kupowało żywność dla niego, było i kucharzem, a biedak wywiązywał się z tych powinności i mimo chęci najlepszych w taki sposób, że tylko ciągłe łajania, przezwiska różne i szturchańce od swojego obrywał pana.

Dnia jednego powrócił Jaśko ze wsi jakoś dziwnie uradowany i ochoczy. Hrabia Albin to spostrzegł od razu, bo niemając żadnego zajęcia, we wszystkiem Jaśka śledził.

— Cóżeś dziś taki wesół? — zapytał — Cóż ciebie za szczęście spotkało?

— O jasny panie! — zawołał chłopak, składając dłonie. — Czy pan hrabia nie słyszy? Przecież to bębęn odzywa się ciągle: bum, bum! bum, bum! bum bum bum! A taki wielki, czerwony! I pikulina wygrywa, że aż uszy razi! Już i nie zapamiętam, kiedym taką śliczną słyszał muzykę. Jasny panie! wieś zbiegła się cała i patrzy na te komedye cudaczne.

— Jakież to komedye, ty ośle? zapytał hrabia — Cóż znaczy ten bęben i pikulina?

— Niedźwiedziarz bębni, jasny panie! Każe niedźwiedziowi tańcować, a takie to ogromne stworzenie z kudłami długiemi. Jest tam i drugi zwierz jeszcze, z dwoma garbami, wielki, dziwny, z długą szyją krzywą, gdyby pałąk (krzywy hak) Niedźwiedziarz oprowadza go, a on raźne pokazuje sztuki. Bies to istny, a zowie się podobno wielbłąd. Ale, ale! to nie sam niedźwiedziarz bębni, tylko parobek jego, bo on przecie tylko te bestye oprowadza i niedźwiedziowi tańcować każe, co aż pociesznie! A chłopak, drugi jego posługacz, wygrywa na pikulinie. Ognista to komedya, jasny panie, że i warto popatrzeć.

Albin rzeczywiście począł ochotę, pójść zobaczyć, co się dzieje, bo każda przerwa w tem życiu samotnem była pożądaną. Zawiesił torbę myśliwską i fuzyę zardzewiałą przez ramię, i szedł przez las ku wiosce. Coraz wyraźniej dochodził go odgłos bębna i pikuliny, a niezadługo ujrzał całą karawanę, to jest: rzadkiej wielkości niedźwiedzia, starego wielbłąda, na którego garbach podskakiwała małpa, różne wyrabiając grymasy, psa dość dużego, niedźwiedziarza i dwóch jego posługaczy. Jeden z nich, już nie młody, z dużym zarostem, twarzy brudnej, w wyrazie oczów skrytą widać było zdradę i krnąbrność. Drugi młody jeszcze, którego Jaśko chłopakiem nazwał, lepiej nieco od tamtego wyglądał, lecz i w jego twarzy było coś, co szczególną budziło nieufność.

Albin zaledwo spojrzał na nich, ale gdy zobaczył pana karawany i badawczem zmierzył go wejrzeniem, to się zdumiał. Twarz ta zestarzała, jakby przed czasem, była mu znajomą, zorana zmarszczkami i bliznami jakiemiś, nos orli, długi, chudy, a zwłaszcza też one czarne, złośliwe, bezczelne oczy, i wąskie, zajadłe ściągnięte usta, — wszystko mu przypominało kogoś, którego znał dawniej.

— Iwanie Iwanowiczu! zawoła na raz jeden na niedźwiedziarza, który właśnie znowu kij uniósł i niedźwiedziowi polkę zatańczyć kazał — Iwanie Iwanowiczu, jakiż ciebie tutaj wiatr przypędził, a jeszcze w postaci niedźwiedziarza?

Pryncypał karawany zadrgnął gwałtownie, posłyszawszy wymówione imię swoje, obrócił się nagle i spostrzegł hrabiego, który bystrem śledził go wzrokiem. Puścił niedźwiedzia zaraz, upadł do nóg hrabiemu i całował go w stopy.

— Panie hrabio, jakaż to radość! Jakie szczęście dla mnie, że znowu widzę, a tak niespodzianie, kochanego pana rotmistrza! — wołał pokornie i z pochlebstwem. — Pan hrabia, jaśnie wielmożny pan rotmistrz poznał mnie! Jakiż to dla mnie honor! Trudno mi radość moję wysłowić!

— Powstań! Powstań, Iwanie Iwanowiczu — rozkazał hrabia. — Ta tłuszcza gapi się na nas, a nie podniecajmy jej ciekawości. Chciałbym z tobą pomówić, Iwanie, i posłyszeć, dlaczego wystąpiłeś z pułku i co stało się przyczyną, że niedźwiedziarzem zostałeś. Mieszkam ztąd o ćwierć mili w zamku, przyjdź do mnie, o ile możesz najprędzej. Stare to gniazdo i nędzne, ale znajdzie się parę butelek wina i wódka dobra, zwłaszcza też dla gardła żołnierskiego, jak twoje. Czy przyjdziesz? i kiedy?

— Za pół godziny, panie hrabio — odrzekł niedźwiedziarz układnie. — Odprowadzę tylko moje zwierzęta na kwaterę, a potem będę do usług pana hrabiego duszą i ciałem.

— To więc dobrze, mój Iwanie — wymówił hrabia z wyrazem łaskawości i dobroci. — Może zrobimy z sobą interes. który byłby dla ciebie korzystnym bardzo, gdybyś go przeprowadził umiejętnie. Czekam ciebie za pół godziny.

Po tych słowach oddalił się hrabia, nie spojrzawszy nawet na gromadkę wieśniaków, .którzy mu pokłon oddali.

Plan piekielny powstał nagle w głowie Albina, gdy w niedźwiedziarzu poznał żoł-

nierza z pułka w którym służył dawniej. Iwan Iwanowicz znanym był zawsze jako człowiek gwałtowny, zły, i skłonny do spełnienia niegodziwości każdej, którąby mu zysk jaki przyniosła. Zatem chciał go użyć za narzędzie, by zemścić się na Robercie. Nie wątpił ani na chwilę, że Iwan będzie mu we wszystkiem posłuszny i sprawi się dobrze, bo włóczenie się kilkoletnie zapewne w złem bardziej go jeszcze wykształciło.

Wróciwszy do swojego pustkowia, wysłał za sprawunkiem jakimś Jaśka, by nie mieć świadka przy odwiedzinach Iwana, a potem oczekiwał z niecierpliwością nadejścia niedźwiedziarza. Iwan zjawił się, jak zapowiedział. Hrabia przyjął go z udaną uprzejmością — a może i nieudaną, boć Iwan pożądanym dla niego był gościem. Prosił go zaraz siedzieć; częstował go sarnią pieczenią na zimno, winem i wódką.

— Jedz, pij! wymówił zachęcając — bo przy próżnym żołądku, to i rozmawiać nie dobrze.

Niedźwiedziarz kiwnął głową i zajadał co zmieściło się tylko, a przy tem i ochoczo popijał. Wreszcie odsunął talerze, butelkę i szklanki, przeszył gospodarza bystrem spojrzeniem, zatrzymał je na nim badawczo i zagadał:

— To i gotów teraz jestem posłuchać pana hrabiego. Cóż jaśnie wielmożny pan rotmistrz słudze swojemu rozkaże?

— Nasamprzód odpowiedz, czy jesteś jeszcze dawnym Iwanem Iwanowiczem, który zawsze był gotów czyn spełnić śmiały, nielękając się następstw?

— Niech mnie pan hrabia wypróbuje? odrzekł niedźwiedziarz, jakby gotów na wszystko — nie lękam się śmierci ni djabła, byle mi tylko zapłacono sowicie. A nie pytam, czy źle robię, czy dobrze, i spełnię wszystko.

— Otóż czego mi potrzeba, Iwanie Iwanowiczu! — zawołał hrabia z radością ukrytą. — Słuchaj więc! Czy znasz może zamek w Sokolniczu?

— Znam, panie hrabio. Wybieram się tam właśnie z menażeryą moją, zapewne już jutro. Hrabia Norman ma szczodrym być panem, i obdarzy biednego niedźwiedziarza, gdy do zamku jego zawitam. Ma synka sześcioletniego jak słyszę, któremu mój niedźwiedź, wielbłąd i małpka spodobają się pewno. Malec może i nie widział jeszcze takich zwierząt.

— Właśnie o tego chodzi mi chłopaka — wyrzekł Albin ponuro, głosem stłumionym — trzeba go sprzątnąć.

— Ale przecie nie zamordować, panie hrabio? — zawołał niedźwiedziarz, cofając się przerażony. — Mogę dla pana hrabiego kraść, rabować, podpalać, gdy tego potrzeba, ale mordować... dziecko zabić, to i byłoby za wiele! Mam szerokie sumienie, panie hrabio, ale, ot, prawdą, a Bogiem zabójstwa nie chę na swojej mieć duszy. Tego zmyć nie można, a w myśli ciągłe widzenia szubienicy, miecza i kata w czerwonym płaszczu, to wcale do takiej nie zachęca zbrodni.

— Któż ci mówi, że chcę śmierci tego chłopaka — dziecinny człowieku? — wymówił Albin spokojnie na pozór, gdy na czole jego chmura cierpkiego zaległa zawodu, a oczy zpochmurzały nagle. — Chcę tylko, ażeby był usunięty, tajemnie porwany i uprowadzony, by nigdy więcej tutaj nie powrócił. Myślę, że to z łatwością wykonać potrafisz. Granica jest niedaleko, a skoro z chłopakiem raz będziesz po tamtej stronie, to i w lasach ogromnych wszelkiej unikniesz pogoni.

— Porwać chłopca.... ha! to potrzeba rozważyć — odrzekł niedźwiedziarz i podumał. — W najgorszym razie, mógłbym chłopca przy sobie zatrzymać i różnych ponauczać go sztuk i łamańców, a to popłaca zawsze. Byłoby to i nie źle! W chłopcu niedźwiedziarza nikt nie domyśli się hrabiątka. Wreszcie, można go i tak odmienić, że w roku nie poznałby i rodzony ojciec swojego dziecka. Hm! Tak... Ale dla czego pan hrabia chcesz usunąć tego chłopca!

— Z przyczyny bardzo prostej i zrozumiałej — odrzekł hrabia Albin. — Jestem jedynym krewnym hrabiego Roberta Normana, a zostałbym jego spadkobiercą, gdyby tego chłopaka nie było. Czy rozumiesz teraz, Iwanie Iwanowiczu?

— Rozumiem — odrzekł Iwan, kiwnąwszy głową. — Pan hrabia byłeś oficerem moim, a nie obchodziłeś się ze mną szor-

stko i srogo. Raz nawet, kiedy mnie podejrzywano, żem się jakiejś większej dopuścił kradzieży i miałem dwadzieścia pięć pałek oberwać, to pan hrabia potrafiłeś temu zaradzić, że ominęła mnie kara. Tegom nie zapomniał i chcę panu usłużyć. Chłopca który panu hrabiemu stoi na przeszkodzie, porwę, a potem zaginie on na dalekich równinach naszej matuszki Rosyi. Ale cóż za to dostanę? jaśnie wielmożny panie rotmistrzu! bo za darmo, nic!... Będzie to sztuka nielada, hrabiowskiego porwać synka! To i cóż za to dostanę?

— Dwieście talarów zaraz; trzysta, gdy z chłopakiem przebędziesz granicę, a potem rok rocznie po pięćset talarów, dopóki go będziesz trzymał daleko poza granicami naszego kraju — odrzekł hrabia.

Zapowiedziana nagroda olśniła niedźwiedziarza i przewyższała jego najśmielsze życzenia. Podskoczył z skrzesła i w zachwyceniu zawołał:

— Tysiąckrotne dzięki, panie hrabio! Jesteś, Bóg widzi, wielce szlachetnym panem, który umie szczerą ocenić usługę. Zdaj się pan hrabia na mnie i na przebiegłość moję.. Chłopak zniknie bez śladu, jak ziarnko piasku w morzu!

— Więc jesteś zadowolony z nagrody, którą przyrzekam?

— Bardzo zadowolony, panie hrabio!

— No, to posłuchaj, bom jeszcze nie skończył — uśmiechnął się Albin — będziesz miał większy jeszcze dowód mojej wspaniałomyślności. Jeżeli mi wiernie usłużysz, sprzątniesz chłopaka i potrzymasz go tam gdzie za światem, to przyrzekam ci na moje słowo hrabiowskie, że otrzymasz odemnie po pięćset talarów rocznie od chwili, gdy po hrabi Robercie Normanie cały obejmę spadek. Sądzę, że to wystarcza, by ciebie w wierności utrwalić twojej.

Och, panie hrabio! — zawołał niedźwiedziarz, w prawdziwy popadając entuzyazm — przysięgam na zbawienie duszy po tysiąc razy, że pana hrabiego nie zdradzę w niczem, że małe hrabiątko powlekę z sobą Bóg wie jak daleko, gdyby i na Syberyę, że już nigdy, przenigdy więcej tutaj nie trafi!

— Ale on może tobie uciec potajemnie! — To już mój kłopot, staranie mojego parobka Piotrowicza, chłopaka Szaszki i dwóch psów doskonałych. Nasze dziesięcioro oczów będą go strzegły, jak szatan duszy, którą pochwycił.

— Wierzę ci, boć to i twój własny interes, gdy chłopaka nie popuścisz — wymówił hrabia zadowolony. — Ale, jakżeż chłopca w moc swoję dostaniesz? Ojciec i dwoje sług starych mają go ciągle w swej pieczy.

— Potrafię ich czujność złudzić! — odrzekł niedźwiedziarz pewien siebie. — Jak to przeprowadzę, nie wiem jeszcze w tej chwili. W miejscu będąc, mogę dopiero rozważyć wszystko i plan ułożyć, by udał się na pewne. Zaufaj mi pan hrabia. Już może za dni kilka posłyszysz o mnie.

— Bądź rozumny i ostrożny! — napomniał hrabia. — Ażeby ciebie przekonać, że ufam przebiegłości twojej zupełnie, płacę tobie z góry. Bierz te dwa rulony, każdy z nich zawiera po sto talarów.

— Dziękuję, panie hrabio. — Pokłonił się Iwan Iwanowicz głęboko, podjął szybko rulony, które gdzieś tam zaraz w jego kieszeni zniknęły. — A teraz pozwól pan hrabia, że się pożegnam i do wsi powrócę. Zamiast jutro, jak zamierzałem, dziś jeszcze z karawaną swoją wyruszam. Potrzeba szybko i odważnie do czynu przystąpić, jeżeli skutek ma być pomyślny.

Hrabia pochwalił gorliwość niedźwiedziarza i pożegnał go łaskawie.

— Piwo już nawarzone — rzekł z szyderczym uśmiechem, gdy Iwan drzwi zamknął za sobą — a ty je wypijesz, kuzynie Robercie. Życzę ci apetytu dobrego!

III.

Porwanie chłopca.

Jakkolwiek niedźwiedziarz, przekupiony świetnemi przyrzeczeniami hrabiego Albina, postanowił niewzruszenie porwać Feliksa, to jednakże po namyśle, przewidywał w wykonaniu powziętego zamiaru wielkie trudności, a może i niepokonane. Dziecka strzegł ojciec i służba wierna i zapewne nie spuszczali go z oka. Iwan zatem przez całą

do Sokolnicza drogę, łamał sobie głowę, jakimby to sposobem do pożądanego dojść celu, bez zwrócenia uwagi i uniknienia niebezpieczeństwa. Parobek jego Petrowicz, idący obok w milczeniu, domyślił się łatwo, że pryncypała zadumanego jakieś ciężkie dręczą myśli, i spoglądał na niego z boku chytrze i badawczo.

— Panie — zaczął wreszcie, długą przerywając ciszę — coś wam chodzi po głowie! Czyliż nie ufacie już staremu słudze, że tam sami coś potajemnie knowacie?

— Ej, nie, mój kochany — odrzekł Iwan Iwanowicz — o tem mowy być nie może. Dowiesz się o rzeczy całej, ale pierwej muszę się rozpatrzeć we wszystkiem.

— Jak zechcecie, Iwanie — kiwnął Petrowicz głową — nie jestem niecierpliwy i poczekać mogę. Ale pomnijcie, żeście już przebiegłość moję i dowcip chwalili nieraz.

Niedźwiedziarz mimowolnie kiwnął głową. Znał dobrze Petrowicza i wiedział, że w nim wiernego będzie miał sprzymierzeńca, gdyby mu chociaż mierne tylko przyobiecał wynagrodzenie. A wszakżeż Petrowicz i Szaszka, koniecznie musieli być do tajemnicy przypuszczeni, więc Iwan skłonił się, by chytremu towarzyszowi zaraz rzecz całą powierzyć.

— Cóżbyś powiedział, Petrowiczu — zaczął — gdybyś miał sposobność zarobienia dwudziestu talarów bez wielkiego trudu i niebezpieczeństwa?

Odpowiadam — zaśmiał się parobek — że i bez namysłu korzystałbym zaraz z takiej gratki.

— Gdyby i trochę niebezpieczeństwa groziło?

— Zależałoby od tego, na jakiebym się miał narazić. Powiedzcież o co chodzi, Iwanowiczu! Wiecie, że was nie zdradziłbym nigdy!

Niedźwiedziarz zatem powiedział mu wszystko poszczegółowo. Petrowicz go słuchał uważnie, a potem ze zwątpieniem głową pokręcił.

Niebezpieczna to sprawa, porwanie dziecka! — wymówił — bo gdy pochwycą, to i w kajdany okują, w ciężkiem zamkną więzieniu, a czasem to i na gardle zagrają. Ale, kto nie próbuje, ten nic nie ma! Kto chce mieć pieniądze, ten i zarobić je powinien. Więc tu chodzi o chłopca hrabiego na Sokolniczu. To i mógłbym z dawnego wypłacić się długu i doznaną pomścić zniewagę.

— Co ty mówisz, Petrowiczu? Czy znałeś hrabiego dawniej?

Zapewne! odrzekł parobek z nienawistnym uśmiechem — a jegomości pana Sztajna, rządzcę przemożnego i szafarza, znam lepiej jeszcze. Czy on też żyje dotąd?

— Żyje. Hrabia Albin mówił mi, że tego potrzeba strzedz się najwięcej.

— Więc zawsze on Totumfackim jest w zamku! byłoby dla mnie wielką uciechą!

— To i cóż tobie zawinił? pytał Iwan niecierpliwie.

— Służyłem tam na zamku przed latami siedmiu czyli ośmiu, a wielowładny pan szafarz przyczynił się, że mi wypalono kopę nahajów, zawsze za wiedzą i wolą jaśnie wielmożnego dziedzica, a potem wypędzono mnie sromotnie ze służby. Zginęło tam dnia jednego, gdy wielu gości było na obiedzie, kilka łyżek srebrnych z kuchni, a wmawiali, żem to ja był złodziejem, żem skradł to srebro. Moje zapieranie się nic nie pomogło, sroga nastąpiła kara. Sztajn przeklęty kazał mnie w swojej przytomności wyliczyć bizuny a jaśnie wielmożny wypędził, pod zagrożeniem, że mnie odda do kryminału, jeżeli w dobrach jego znowu pokażę się kiedy. Zmieniłem się od tego czasu i zjadłby licho, ktoby mnie poznał, to też będę mógł teraz krzywdę pomścić swoję.

— Więc usłużysz mi wiernie?

— Duszą i ciałem, a jeszcze skoro o tak tłusty chodzi kąsek! — odrzekł parobek mściwie zajadły. — Będzie mi pociechą potraktować hrabiątko pałeczkami, tak jak mnie uczęstował jego ojculo. Gdyby tylko pochwycić można to małe ladaco! A ja znam w lesie miejsce takie, że djabeł by go nie znalazł. Będąc w zamku, ukrywałem tam nie jedno, i potem dopiero przy czasie sposobnym wywlokłem moję zdobycz.

— Na cóż nam takie miejsce? — odezwał się Iwan — gdy będziemy mieli chłopaka, to i dalejże z nim za granicę.

— To byłoby niemądrze! Gdy zniknie hrabiątko jednocześnie z oddaleniem się karawany naszej, to i podejrzenie zaraz pa-

dłoby na nas, żeśmy dzieciaka porwali, i wszędzie pogoniliby za nami. To i rozsądniej będzie, gdy chłopaka schronimy gdzie odrazu, dopóki pierwsza nie utrze się wrzawa. Będę go strzegł, gdyby oka w głowie, tego możecie być pewni.

— Masz słuszność! Jesteś przebieglejszym odemnie — wymówił niedźwiedziarz. — Więc dalejże! A ufajmy szczęśliwemu trafowi, który nam dzieciaka odda w ręce. Straż nad nim muszę jednak sam objąć, nie dla tego, ażebym tobie nie ufał, uchowaj Boże! ale, że muszę tu w okolicy pozostać dla odebrania nagrody za czyn spełniony. Wtedy spadnie na ciebie jeszcze najmniej trzydzieści talarów, którymi nie pogardzisz, jak sądzę.

— Och, panie pryncypale! — i oczy Petrowicza zaświeciły się chciwością — ucieszę się tym pięknym nabytkiem. Ale jeszcze jedno! Przecież i Szaszka musi coś dostać! Jestem jego wujem, więc mam obowiązek pamiętania o dziecku siostry swojej.

— Zapewne, zapewne! — odrzekł Iwan Iwanowicz — gdy figiel się uda, to i Szaszka będzie miał pięćdziesiąt talarów.

— To więc rzecz skończona i kwita! — Petrowicz radośnie zatarł ręce.

Nie myślał przytem naturalnie, że one pięćdziesiąt talarów odda siostrzeńcowi, bo raczej postanowił zatrzymać je dla siebie, jako zdwojoną zarobku nagrodę.

W najlepszem porozumieniu karawana potoczyła się dalej. Pod wieczór przyciągnęli do jakiejś wioski, gdzie zanocować chcieli. Nazajutrz mieli około południa stanąć w Sokolniczu. Planów dotąd jeszcze nie robili żadnych, bo pierwej chcieli miejscowość zbadać i różne powziąść wiadomości, zanimby do wykonania zbrodni przystąpili.

Stanęli zatem dnia drugiego o południowej godzinie w rozległej włości Sokolniczu. Nowina o przybyciu karawany pociesznej rozbiegła się w jednej chwili, od domu do domu, od chaty do chaty, i niebawem wieś cała wyległa. Bum bum, rumbum bębna i piskliwa pikulina zwabiła tłumy uradowanej młodzieży bosej, a przydążyli i starsi w butach.

Iwan zamierzył dziś wypocząć, a jutro dopiero wielkie dać przedstawienie. Z Petrowiczem na przodzie, który bęben bezustannie pałkował, pociągnęła karawana do jedynej karczmy, jaka była we wsi. Umieszczono w dużej stajni zwierzęta, a Szaszka pozostał przy nich na straży.

Niedźwiedziarz zaś i Petrowicz zasiedli przy szynkownym stole, przy piwie i wódce, i wdali się w gawędę z gospodarzem, który rad bardzo był tej rozrywce. Ostrożnie ułożonemi pytaniami wydobyli z gadatliwego karczmarza, że hrabia Robert Norman jest w zamku, że strzeże synka Feliksa, gdyby źrenicy w oku, że chłopcu niewolno wychodzić z zamku, chyba pod opieką pana Sztajna, dawnego rządcy domu.

— To pewnie i nie dostąpimy zaszczytu, by mały paniczek przyglądał się zwierzętom naszym i sztukom różnym — wymówił niedźwiedziarz, niby zafrasowany trochę. — Żalby mi było, i żal bardzo, bo liczyłem na szczodrobliwość jaśnie wielmożnego hrabiego.

— Ej, o to nie miejcie kłopotu! — pocieszył go karczmarz. A małe hrabiątko ciekawem jest dzieckiem a zapewne jeszcze i nie widział w życiu swojem niedźwiedzia, wielbłąda i małpy. Skoro tylko posłyszy o przybyciu waszem, a powiedzą mu o tem zaraz, to i ojcu nie da spokoju, jeno będzie go męczył, ażeby mu pozwolił pójść na wieś. Może was nawet i na zamkowy wezwią dziedziniec, a wtedy jak gdybyście już mieli kilka bitych w kieszeni. Nasz pan jest zaprawdę szczodrym bardzo, i też w okolicy znanym z hojności.

— Tem lepiej! — wymówił niedźwiedziarz. — A zwierzęta moje są bardzo ułaskawione, że i niemasz lękać się o co, gdyby panicz nawet zbliżył się do nich, by przypatrzeć się lepiej. Niedźwiedź posłuszny i powolny, gdyby pies wytresowany. Ale cóż powiecie, panie gospodarzu, gdybym tak sam poszedł do pana hrabiego i poprosił go pokornie, pokłoniwszy się do stóp, ażeby raczył choć jednem spojrzeniem moję menażerye zaszczycić?

— To i zaszkodziłby w żadnym razie nie mogło, mój panie sztukmistrzu — odrzekł gospodarz. — Jeżeli pójdziecie do zamku, to zapytajcie nasamprzód o pana

Sztajna, rządzcę domu. Ten was pouczy najlepiej.

— Spróbuję — wymówił Iwan Iwanowicz po krótkim namyśle, i powstał. — Dziękuję wam, panie gospodarzu, za waszą radę. Chodź, Petrowiczu, kawałek ze mną.

Wyszli obajdwaj pospołu i skierowali kroki ku zamkowi. Gdy już byli za wsią i zdala od ludzi, którzyby ich rozmowę podsłuchać mogli, zagadał niedźwiedziarz do parobka.

— Posłuchajno, Petrowiczu, przyszło mi na myśl w czasie rozmowy z karczmarzem, by udać, że jedno ze zwierząt zaniemogło, a najlepiej wielbłąd.

— Dla czegoż to, panie pryncypale? — zapytał Petrowicz. — Skoro wielbłąd ma być chory, to i nie możemy sztuk pokazywać żadnych, a kieszenie pozostaną puste.

— Niech tylko wypowiem wszystko, a zobaczysz, że planik jest dobry. Nie chodzi o groszy kilka, które nam i tak głupie chłopstwo zapłacić musi. Mamy teraz jedynie hrabiątko na celu! Sam wyrzekłeś, że wśród murów zamku nic poczynać niemożna, bo chłopiec pod ciągłem jest dozorem. Ale poza tym zamkiem obronnym może da się coś zrobić. Paniczek rozpieszczony zechce zapewne nasze widzieć zwierzęta. Skoro zaś wielbłąd będzie chory, to i nie damy przedstawień żadnych, ani tutaj ani w zamku, a wtedy przywabimy ciekawego chłopca do siebie. Nie będzie miał spokoju, dopóki zwierząt nie zobaczy, a bylibyśmy osłami, gdybyśmy tu paniątka więcej razy zwabić nie umieli. Takie dzieciaki oszaleją po prostu, jak to widzieliśmy już nie raz, by przypatrywać się zwłaszcza niedźwiedziowi. Już to Maruszka naszym będzie sprzymierzeńcem. Przybiegnie tu ciekawy paniczek zapewne sam kiedy, wykradnie się sam dozorcom niepodejrzywając nic złego, boć to dzieci zwykle ufają każdemu. A wtedy, hejsa, Petrowiczu, już ptaszka nie wypuścimy i pieniążki będą nasze!

— Racya, panie Iwanie Iwanowiczu — wymówił parobek zawistnie, że niedźwiedziarz większej teraz od niego udowodnił chytrości — Plan jest dobry, a dla tego, że czasu będziemy podostatkiem mieli. Potrzeba uśmierzyć baczność strzegących go, a możemy z pewnością liczyć na to, że hrabiątko na oślep pójdzie w pułapkę. Chorobę wielbłąda mnie pozostawicie, udam wszystko doskonale. A zanim powrócicie ze zamku, będzie już wyglądał; jak gdyby każdej chwili miał nogi wyciągnąć.

— Tak będzie dobrze! — wyrzekł Iwan zadowolony. — Idę do zamku i zamelduję się. Bywaj zdrów tymczasem i pamiętaj o wszystkiem, Petrowiczu!

Rozeszli się. Niedźwiedziarz udał się do zamku, parobek do karczmy powrócił.

Przybywszy do zamku, Iwan Iwanowicz poprosił, by mógł z panem rządzcą pomówić. Sztajn wyszedł do niego, a niedźwiedziarz przedłożył mu pokorne żądanie, by mógł posłuchanie u jaśnie wielmożnego hrabiego pozyskać. Sztajn zapytał, jaki ma interes, a gdy posłyszał o co chodzi, to i z uśmiechem przykiwnął mu głową.

— Audyencyi na to nie potrzeba! — odrzekł. — Pan hrabia nie lubi, ażeby mu przeszkadzano. Ale bądźcie pewni, że ja przyjdę do was z paniczem, dziś albo jutro.

Iwan znowu pokornie dziękował i uradowany do karczmy powrócił, gdzie Petrowiczowi dobry skutek swojej rozmowy z Sztajnem powtórzył.

— Teraz już nie wątpię, że nam się powiedzie — powiedział, zacierając ręce. — Stary rządzca podobno sam tak jest ciekawym widzieć zwierzęta nasze, jak i paniątko, którego strzeże. Cóżeś począł z wielbłądem, Petrowiczu! Bądźmy przygotowani, że może dziś jeszcze wizyta do nas zawita z zamku.

— Niema o to kłopotu, panie pryncypale! — odrzekł parobek z wejrzeniem niepewnem. — Wpraktykowałem wielbłądowi szpilkę w kopyto, więc stoi na trzech tylko nogach i łeb zwiesił żałośnie. Szpilka nic mu złego nie zrobi, a w nocy możemy ją wyjąć znowu.

— Dobry miałeś pomysł! — pochwalił niedźwiedziarz parobka. — Więc jesteśmy przygotowani na powitanie hrabiątka. Ciekawy jestem, czy on dziś jeszcze przyjdzie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FR. HOFFMAN.

WUJ I SIOSTRZENIEC

Z niemieckiego wydania

PRZEŁOŻYŁ

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

Motto:
Kto w Boga wierzy, nie lekceważy
Jego przykazań.

(Ciąg dalszy.)

Już i księżyc zeszedł, i noc spuściła czarną swą zasłonę, a wycie i krzyk dzikich zwierząt począł się rozlegać po lesie, a Herkulesa jeszcze nie było,... Każda minuta wydawała się Emerykowi nieskończenie długą. Zniecierpliwiony nareszcie i pełen obawy o przyjaciela, postanowił pójść za nim, aby go odszukać. Powstał więc, jedną strzelbę zawiesił na ramie, drugą wziął do ręki i tak uzbrojony, a wzmocniony odpoczynkiem puścił się za nim w drogę. Zaledwie jednak uszedł dwadzieścia kroków, zatrzymał się, pies bowiem zaczął naszczekiwać, drugi w tejże samej chwili odpowiedział nieopodal, a niezwłocznie potem pojawił się i Herkules.

"Co Massa robi? — zawołał, — dlaczego nie czeka na Herkulesa?"

"Czas był mi za długi — odpowiedział Emeryk — a oprócz tego trapiły mnie najróżnorodniejsze myśli, obawiałem się, czy może jakie nieszczęście nienapotkało cię, kiedyś tak długo niewracał i dlatego powstałem, aby pospieszyć ci z pomocą. Dobrze, żeś już powrócił! a cóżeś słyszał i coś wyśledził Herkulesie?"

"Wszystko prawda! — odpowiedział murzyn — dozorca wielki hultaj. Chodził do nieprzyjaciela, przyrzekał mu dużo pieniędzy, jeżeli przyjdzie i splądruje plantacyę, zdradził, że już żołnierzy nie ma, a tylko jeden postawił warunek."

"Jaki?" zapytał Emeryk ciekawie.

"Aby pochwycił, wymęczył i zabił młodego Massę!" odpowiedział Herkules z naciskiem.

"A więc zapatrywania twoje były zupełnie słuszne kiedy mówiłeś, że zawziętość dozorcy mnie jednego ma na celu! Lecz cóż ja wyrządziłem temu człowiekowi takiego, coby usprawiedliwiać mogło tę chęć zemsty? Wszak ja powstrzymywałem dozorcę od niektórych tylko wybryków i nadużyć, i nic więcej. Jeżeli więc on znowu wypuszcza strzałę zatrutą na mnie, odbije się ona i ugrzęznie w jego własnej głowie. Chodź Herkulesie. Wracajmy do wuja, a możeby należało pójść przedtem do nieprzyjaciela i popróbować, czy nie dałoby się odwieść go od powziętych krwawych zamiarów?"

Herkules potrząsł głową przecząco. "Łatwiej wydrzeć jaguarowi z paszczy ofiarę, jak dzikiego nieprzyjaciela powstrzymać od plądrowania — odpowiedział, niema innej rady jak tylko bronić się. Źle, że żołnierze odeszli. Dozorca chytry hultaj. Z umysłu doradził odesłać wojsko. Na nic jednak niezda się to jemu, skoro odkryliśmy podły plan jego. Herkules będzie bić się za młodego Massę, i postara oto aby i jego bracia bili nieprzyjaciela. Obaczymy. Nie, nic niewskura nieprzyjaciel jak napadnie."

"A twoi bracia — zapytał Emeryk — zechcąż bić tych których ciało tak samo czarne jak i ich?"

Herkules śmiał się, a zęby jego bły-

szczały w ciemności nocy. "Nieprzyjaciel niezna litości, niezważa kto biały, a kto czarny. Wszystkich zabija. Massa tego nie wie, bo dopiero krótko bawi w tym kraju. Ale Herkules wie o tem i tak samo wszyscy niewolnicy w plantacyi. I dla tego uciekają skoro tylko nieprzyjaciel nadchodzi. Ale tutaj nie powinni uciekać, powinni bić się!"

Nie bardzo miłem było dla Emeryka to wyjaśnienie. Poznał od razu rozpaczliwe położenie, niemniej począł niedowierzać zapewnieniom Herkulesa, że czarni miasto uciekać, bić się będą. Na Herkulesa mógł śmiało liczyć, czy jednak i inni niewolnicy okażą się tak samo wiernymi, oto pytanie, na którego odpowiedź była dla niego zagadką. Wszystkich tych obaw niezdradził jednak Emeryk, a tylko co prędzej spieszył do domu, ażeby poczynić jeszcze bodaj najpotrzebniejsze przygotowania do obrony przeciw spodziewanemu napadowi czarnego zdziczałego nieprzyjaciela.

VIII.

Napad.

Już prawie o północy powrócili Emeryk i Herkules do plantacyi. Pan Wanderstraten był nadspodziewanie wesół, a ucieszył się jeszcze bardziej, jak obaczył obydwóch młodzieńców wchodzących do pokoju jego.

"Dzięki Bogu, żeście już tutaj!" zawołał zwracając się do Emeryka. "Zaprawdę młodzieńcze, gdybyś nie był tak usilnie prosił o zatajenie twej wycieczki w góry, byłbym dotychczas już wszystkich moich niewolników wysłał, ażeby cię szukali. Gdzieżeście do tak późnej godziny siedzieli? Cóż to tam do kata, zdaje mi się, żeś zraniony! Co to się stało? Herkulesie, biegnij po lekarza, prędko i...."

"Poczekaj, poczekaj wujaszku!" — przerwał Emeryk — "Rana to nic nieznacząca, Herkules już ją zaopatrzył i zawiązał. Zresztą i czasu niema po temu, mam ci bowiem dziwne rzeczy opowiedzieć."

Wuj nie nalegał więcej, Emeryk więc rozpoczął zaraz opowiadanie o przygodach dnia całego. Pan Wanderstraten słuchał ze zdumieniem, a lica jego na przemiany, to bladły z obawy, to czerwieniły się ze złości.

"Zgubieniśmy!" zawołał wysłuchawszy całego opowiadania i począł chodzić dużymi krokami po pokoju, raptem zatrzymał się przed Emerykiem. "Tylko, czy ty niezażartowałeś sobie ze mnie? bo podobne żarty byłyby mi bardzo niemiłymi. Wiem, że niejesteś przychylnym dozorcy, i...

"Wuju! czy sądzisz, że byłbym zdolnym rozsiewać podobne kłamstwa i takie nikczemne oszczerstwa!?" zawołał Emeryk dotknięty boleśnie. "Zresztą, jeżeli niewierzysz mnie w tej chwili, więc niebawem już przekonasz się o prawdzie całego opowiadania. Nieprzyjaciel, nieda długo na siebie czekać, a jak okrutnie postępuje z napadniętymi, wiesz zdaje mi się o wiele lepiej, jak ja.

"Tak, to prawda " odpowiedział pan Wanderstraten. "Przebacz mi to niesłuszne posądzenie mój chłopcze, i nieopuszczaj starego twego wuja w tem niebezpieczeństwie. Te psy okrutniejsze są od samych djabłów, a zwinniejsze jak błyskawica. Zanim oglądniesz się, oni już tu nadlecieć mogą. Lecz nie, ty musisz mylić się! Mikołaj jest wiernym sługą, a jam był dla niego zawsze tak dobrym, nie, ja niemogę uwierzyć, aby on mnie mógł tak haniebnie zdradzić."

"Ha, jeżeli jemu więcej wierzysz i ufasz, jak własnemu swemu krewnemu, w takim razie niema dla ciebie rad mój wuju. Chodź Herkulesie, my przynajmniej przygotujmy się, aby nieprzyjaciela przyjąć jak należy i jak zasłużył. Jak sądzisz, kiedy mogą nas napaść?"

"Mogą jutro nadlecieć, ale tak samo mogą i dzisiejszej nocy," odpowiedział Herkules. "Niemożna być pewnym. Dobrze Massa powiedział, że żwawi jak błyskawica, a źli jak diabły."

Różne uczucia miotały obecnie panem Wanderstraten. To trapiła go obawa przed dzikimi, to znowu za chwilę oburzał się na myśl, że dozorca poważył się zdradzić go, ten sam dozorca, który jemu już lat tyle wiernie (jak mu zdawało się) służył. Opowiadanie jednak siostrzeńca kazało wierzyć, że dozorca hultaj. Cóż więc czynić? Myśl szczęśliwa nasunęła się: uciekać, uciekać jak

najszybciej ze wszystkimi skarbami, o ile tylko bez wielkich trudów dałyby się zabrać.

"Tak uciekać!" zawołał. "Uciekajmy siostrzeńcze, uciekajmy co prędzej, aby jak nadlecą ci hultaje, nieznaleźli nas, a wówczas mogą dom spalić i plantacyę zniszczyć. Taka szkoda da się powetować, ale życie raz utracone nie powróci nigdy. Ucieczka jedna może nas jeszcze uratować, jeżeli Mikołaj w rzeczy samej uknuł na nas spisek."

"Wuju a kosztowne maszyny twoje! — zawołał Emeryk — a ten dom ładny i z takiem przepysznem urządzeniem, a całe plantacye zasadzone kawą i tytoniem i posypane nowozem z kropel potu twoich niewolników? a niewolnicy, których niechybnie posieką w kawałki, skoro ich pozostawimy na los szczęścia? — nie wuju, lepiej bić się mężnie, aniżeli uciekać, jak bojaźliwe tchórze! — Dziki broni swojej biednej chaty, a ty miałbyś porzucać takie bogactwa? nie wuju, to być niemoże, pozwól nam tylko bić się!"

"Ale jakże my trzej damy sobie rady z setkami tych zażartych stworzeń, które pragną tylko krwi i zdobyczy?" zawołał pan Wanderstraten, zwątpiwszy w możliwość obrony.

"My trzej niebylibyśmy zdolni odeprzeć napad, to prawda — odpowiedział Emeryk — ale czyż nie masz tak samo tyle setek niewolników, ile setek nieprzyjaciół zagraża ci? Daj im tylko broń, przyrzeknij, że odtąd łagodnie, po ludzku będziesz obchodzić się z nimi, a niewątpię, że dzielnie bić się będą. Herkules tak samo sądzi."

"Herkules niewie, czy wszyscy bić się będą, odpowiedział murzyn, ale to wie. że wielu z nich bić się będzie. Inni nadejdą później, skoro tylko poznają, że bić się muszą o własną skórę."

"Ale kto za mnie pochwyci za broń?" zawołał pan Wanderstraten.

"Wszyscy, którzy wierzą w dobrego Boga — odpowiedział z godnością i powoli murzyn. — Dobry kaznodzieja nakazał im kochać Massę, chociażby Massa był bardzo ostrym. Zechcą zasłużyć sobie, aby 'Massa był dla nich dobry. Jeżeli Massa przyrzeknie, że ich prześladować nie będzie, jeżeli Massa pozwoli im modlić się do dobrego Boga, będą bić się z ochotą do ostatniej kropli krwi. Herkules wie o tem, bo on sam chrześcijaninem, i wierzy w dobrego Boga w niebie!"

Pan Wanderstraten pokiwał głową niedowierzająco i spojrzał na Herkulesa podejrzliwie. On pragnąłby uratować dom, który z takim przepychem urządził, chciałby również zapobiedz zniszczeniu prześlicznych swoich plantacyi, mimoto jednak, jakże mu trudno pozbyć się uprzedzenia, w którem dozorca od tylu lat starał się utrzymywać go i utwierdzić. Pan Wanderstraten podzielał zapatrywanie ogółu plantatorów w Guyana, że czarnego niewolnika należy utrzymywać w najgłębszej niewiadomości, toteż i zapomniał podobnie jak tamci, że grubej dzikości należy się w końcu więcej obawiać, jak umysłu ukształconego, szanującego prawo i znającego zasady moralności. Po niedługiem też wachaniu się, odrzucił propozycye siostrzeńca i Herkulesa, a natomiast rozkazał jak najspieszniej poczynić potrzebne do ucieczki przygotowania. Emerykowi polecił pójść do zbudowanych nieopodal sklepionych składów, w których skarby swoje, drogie kamienie, złoto i srebro przechowywał, tam wszystko spakować, dwa konie tymi pakunkami objuczyć, dwa zaś drugie dla nich osiodłać, aby potem jak najspieszniej uciec do sąsiednich plantacyi. Herkules zaś miał podczas tego pobudzić niewolników, rozdać pomiędzy nich broń i naboje, poczem stanąwszy na ich czele podwojownym krokiem pospieszyć za panami obydwoma, którzy ich w sąsiedniej plantacyi oczekiwać będą. Emeryk począł wprawdzie sprzeciwiać się, lecz pan Wanderstraten obawiając się bardziej o swe życie, jak o plantacyą, którą niewolnicy przecież na nowo i tak samo urządzą napierał tak gwałtownie na siostrzeńca, że tenże w końcu bodaj w części jednej uległ.

"A więc dobrze wuju, odpowiedział uciekaj w imie Boże, tylko nie myśl, że ja będę ci towarzyszyć. Kiedy ty drogą twą osobę li jedynie chcesz obronić, ja natomiast chcę popróbować przynajmniej, ochronić cały twój majątek."

Po tych słowach wybiegł Emeryk z pokoju, aby rozkaz wuja wypełnić, Herkules

zaś tuż za nim, aby pospieszyć do chat murzynów, uzbroić ich i do obrony jeżeli już nie dóbr pana Wanderstraten, to przynajmniej własnego ich życia powołać.

Szybko przebiegł Emeryk ogród i za chwilkę już stał przed sklepionymi składami, gdzie były ukryte skarby pana Wanderstraten. Mimo pospiechu jednak, zatrzymał się przed zabudowaniem, zdawało mu się bowiem, jakoby posłyszał w oddali kroki ludzkie. Począł więc nasłuchiwać, cicho jednak było wszędzie! a tylko lekki wiaterek muskał szczytami palm i szerokiemi liściami pizanów. Przestąpił więc do żelaznych drzwi, wyciągnął klucz, który mu wuj wręczył, włożył go do zamku, niepodobna jednak było otworzyć. Przypuszczał, że klucz może nie ten sam, lecz jakież było zdziwienie jego, gdy na chyhi trafi pocisnął za klamkę a drzwi odskoczyły. Wszedł tedy coprędzej do środka, otworzył drzwi drugie, a tu znowu nad wszelkie spodziewanie zastał Mikołaja, trzymającego w jednej ręce latarnię, drugą zaś zgartującego skarby pana Wanderstaten do ogromnego wora. Pobladł dozorca i krzyknął, obaczywszy Emeryka. Ten zaś oburzony zawołał: ‘ A więc Herkules niemylił się kiedy utrzymywał, że ten podły zdrajca, jest również bezwstydnym złodziejem. Człowieku czegu tu chcesz, za czem tu szukasz?"

Ze słów tych poznał dozorca, że wszystkie plany jego odkryto. Nienawiść i chęć zemszczenia się pokonały przestrach jaki go był opanował, odzyskawszy przytomność poznał, że zgubiony, jeżeli rączo działać nie będzie, pochwycił więc za nóż z za pasa i z wściekłością tygrysa rzucił się na Emeryka.

"Giń, ty psie, który pokrzyżowałeś wszystkie moje plany!" zawołał groźnie i podniósł rękę, by nią cios śmiertelny zadać. Ale Emeryk był na wszystko przygotowany, a więc i na napad tego rodzaju. Zdrowem ramieniem sparaliżował cios, silnem zaś kopnięciem nogą odtrącił dozorcę o kilka kroków od siebie, poczem jak najszybciej wyszedł i zamknął drzwi za sobą. Zanim dozorca zerwał się, drzwi już były zamknięte, a on uwięzionym wewnątrz. Wszelkie tłuczenia o mocne, żelazne drzwi, wszelkie szarpania klamką, nie przydały się na nic. Nieważając na wrzaski dozorcy pobiegł Emeryk po kilkunastu murzynów, aby ci związali dozorcę, i w ten sposób zrobili go nieszkodliwym. Zranione bowiem ramię, niedozwalało mu samemu tego uczynić. Będąc jednak przezornym, nie zapomniał zamknąć także i drugie drzwi, i takowe dobrze zaryglować i wówczas też, dopiero pobiegł dalej. Raptem zatrzymał się w biegu.

Nie, to niepodobna, ażeby słuch miał go zawodzić, nie, ta wrzawa, to nie co innego tylko kroki setek ludzi, ten hałas to nic innego tylko szczęk broni, i łamanie suchych gałęzi, i szelest liścia, które owe setki ludzi krocząc poruszają. Z zapartym tchem w piersiach stanął i począł nasłuchiwać, słuch go nie zawiódł w tej bowiem chwili rozległo się w powietrzu przerażające wycie od strony rzeki, przekonywające go, że nie czas do ucieczki, bo nieprzyjaciel wdarł się już do posiadłości wuja. Dobrze widać poinformowany był nieprzyjaciel, kiedy drogę od strony rzeki obrał, tam bowiem nie było żadnych chat murzynów, a zarazem wdzierając się tamtędy niedozwalał już oblężonym użyć do obrony armat, które tam na łodziach były ustawione, w końcu dodać jeszcze i to należy, że paszcze tych armat skierowane były właśnie na plantacyę. Pałac bowiem, jak wspominaliśmy, zbudowany był na wzgórzu, chaty zaś murzynów za wzgórzem, kule więc, jakie wypadały z paszcz armatnich przelatywały tylko nad chatami, natomiast kule te same zabójczemi musiałyby być dla nieprzyjaciela oblegającego pałac, każda bowiem z nich wypadłszy z paszczy, pustosząc i zabijając, znacznie byłaby przerzedziła jego szeregi. Żołnierze odeszli, pozycyi więc tej nie było obecnie kim obsadzić, a dozorca niechybnie zwrócić musiał uwagę nieprzyjaciela na tę okoliczność, skoro tenże odważył się stanąć pomiędzy pałacem, a ziejącemi zniszczeniem działami. Uwagi te wszystkie nasunęły się obecnie na myśl Emerykowi, poznał, że przedewszystkiem potrzeba odebrać armaty, ażeby ze skutkiem mógł być opór stawiany nieprzyjacielowi. Pałac był w prawdzie mocno bardzo zbudowany, okna

okratowane żelaznemi prętami były tak wysoko, że nie łatwo było dostać się do nich choćby i odważnemu, drzwi wchodowe wyciosane były z twardego drzewa, a w razie potrzeby można je było zabarykadować jeszcze różnemi meblami, lub innemi tego rodzaju rzeczami, ale na co przyda się to wszystko, jeżeli broniący się ograniczeni zostaną na wnętrze samego pałacu? Nieprzyjaciel potrzebuje tylko pałac ze wszech stron opasać, komunikacyę wszelką przeciąć, a czego siła nie dokaże, dokaże głód, a głód zmusi ich do poddania się.

"Może jeszcze czas — szepnął Emeryk — o gdyby nam udało się obejść nieprzyjaciela, natenczas uratowani jesteśmy!"

Niepomyślawszy nawet, że nieprzyjaciel nader łatwo może go po drodze pochwycić, zawrócił i zamiast do pałacu, pobiegł coprędzej do chat murzynów, aby wraz z nimi plan powzięty wykonać. W połowie drogi napotkał go trafem szczęśliwym Herkules. Około czterdziestu murzynów towarzyszyło Herkulesowi, reszta miała zaraz nadejść, z wszyscy szli do pałacu, bo pałac jeden tylko, jak mówił Herkules, bezpiecznem był w tej chwili schronieniem. Kilkoma słowy opowiedział Emeryk cały plan swój zdobycia armat, i Herkules gotów był do tego czynu zuchwałego.

"Ale jakżeż, bez broni? bez broni niepodobna!" zauważył nareszcie.

"A gdzież znajdziemy broń?" zapytał Emeryk.

"W pałacu, zresztą nigdzie!" odpowiedział Herkules.

By słów na darmo nie tracić, pobiegł Emeryk do pałacu, a za nim Herkules z murzynami. Od wuja Wanderstraten, który posłyszawszy krzyki zbladł i przestraszył się, a nie mogąc już dłużej utrzymać się na nogach, usiadł w krześle z poręczami, zażądano natychmiast kluczów do składu broni i rozdano takową pomiędzy murzynów. Następnie zaopatrzono ich w kule i proch a w kilku minutach, broń wszystka była nabita. Mimo to jednak, zapóźno stanął Emeryk z dzielną rzeszą nad rzeką Korentin. Nieprzyjaciel bowiem już przedtem zajął i obsadził cały brzeg, a teraz chmurą strzał powitał nadbiegających. Nie pozostało nic innego, jak powrócić do pałacu, w którym zgromadziła się już i reszta murzynów. Powrócili więc, drzwi zamknęli i zatarasowali, i odtąd całą ich obroną był gruby mur i własne męztwo, które w tej chwili na ciężką wystawione było próbę, a o czem zresztą każdy z nich sam najlepiej był przeświadczony.

IX.

Wierni chrześcianie.

Skoro tylko Emeryk i Herkules podzielili całą rzeszę, ustawiając przy każdem oknie po kilkunastu uzbrojonych, pospieszył siostrzeniec do wuja, który jakkolwiek już trochę przyszedł do siebie, zawsze jednak nie mało był przelękniony i w swoim pokoju tam i nazad przechadzał się.

"No! kochany wuju od pierwszego natarcia jesteśmy zasłonięci — przemowił Emeryk — chodzi obecnie tylko o to, czy znajdzie się w pałacu dosyć amunicyi i prowiantów, aby tę rzeszę składającą się z jakich sto ludzi, a którzy z pałacu wyjść nie mogą, od głodowej śmierci uchronić."

"Czy w rzeczy samej nie podobna już ratować się ucieczką? zapytał pan Wanderstraten, nie mogąc dotychczas oswoić się z myślą prowadzenia walki z nieprzyjacielem.

Emeryk ruszył ramionami. "Zapóźno kochany wuju!" odpowiedział. "Dom ze wszystkich stron otoczony, i tylko, jeżeli masz natyle odwagi pośród setek zatrutych strzał, które w tejże samej chwili w której ukażesz się wypuszczone zostaną, mógłbyś uciekać. Lepiej więc, zostań w domu. Słowo ci daję, że my wszyscy, jak tu jesteśmy, będziemy cię bronić do ostatniej kropli krwi."

"Ale czyż podobna nam będzie długo opierać się?" — jęczał pan Wanderstraten. "Lasy wygnały wszystkich swoich mieszkańców na nas, a z moich niewolników większa część prawdopodobnie także uciekła."

"To prawda," — odpowiedział Emeryk, — "zaledwie sto z nich posłuchało nawoływań Herkulesa, i pospieszyło, aby się bronić, ale tych sto, to sami dzielni i waleczni. Odpędzać nieprzyjaciela możemy śmiałością

i odwagą, dopóki pomoc nie nadejdzie, byleby tylko pożywienia nie zabrakło, bo głód paraliżuje ramię i najmężniejsze serce robi lękliwem. Wuju są też zapasy w pałacu?"

"Ja sądzę, że są, zawsze bowiem spodziewaliśmy się napadu tych morderców,"— odpowiedział pan Wanderstraten. "Oto klucze od spiżarni, pójdź i zobacz siostrzeńcze, albo nie, poczekaj, ja sam cię zaprowadzę."

I poszli na górne piętro, pan Wanderstraten otworzył spiżarnię, lecz tu Emeryk z przestrachem, pan Wanderstraten zaś z oburzeniem obaczyli próżne zupełnie skrzynie i szuflady, w jednym tylko kącie leżało trochę owoców.

"To sprawa Mikołaja!" jęknął pan Wanderstraten. "Dopiero przedwczoraj wyłudził odemnie klucze, pod pozorem zniesienia kilka worów ryżu potrzebnych na zasiew, a tymczasem hultaj wypróżnił całą komorę!"

"By nam bardziej zaszkodzić" dodał Emeryk smutno. "Szkaradny to przypadek kochany wuju, niepodobnem będzie teraz czekać na pomoc i dla tego nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przebić się, albo zginąć z głodu!"

"Nędzny, podły hultaj!" wybuchnął pan Wanderstraten. "Gdzie on jest Emeryku? Na Boga, jeżeli my wszyscy mamy tutaj ginąć, niechże i on nie zbiera owoców zdrady, niech niemi nieucieszy się. Emeryku daj mi go tylko, a obaczysz, jak pomszczę się za ciebie na tym hultaju"

"Obawiam się, czy my wszyscy już niezostali pomszczeni i nawet daleko ciężej, jak byśmy byli życzyli sobie!" odpowiedział Emeryk blednąc. "Nieszczęsny! własna jego zbrodnia zabiła go! On siedzi tam, zamknięty w sklepionych składach i niepodobna go uwolnić, skoro nieprzyjaciel osaczył nas ze wszech stron. Musi więc umrzeć z głodu i pragnienia w ciemnicy, opuszczony od wszystkich, bez wszelkiej ludzkiej pomocy, a nadto jeszcze dręczony wyrzutami sumienia. O Boże! jakże ty okropnie karzesz za zbrodnie niegodziwych zdrajców!"

"I ty żałujesz go jeszcze?" zawołał pan Wanderstraten. "Czyż nam tu może lepiej, jak jemu?"

"Wuju, my jeżeli już umrzeć będziemy musieli, będziemy umierać w uczciwym przynajmniej boju, z bronią w ręku i czystem sumieniem!" odpowiedział Emeryk. "Prócz tego uśmiecha się nam jeszcze zawsze nadzieja, że będziemy uwolnieni, kiedy ten nędznik niechybnie zginąć musi. My potrafimy może jeszcze wydostać się i uciec, wszak pomiędzy nami, a drogą którą moglibyśmy uciekać stoi na przeszkodzie jeden tylko rząd strasznego nieprzyjaciela! A on! Siła olbrzyma nie rozwaliłaby owych wrót żelaznych, tem pewniej więc nie rozwalą ich pokurczone przestrachem muszkuły omdlałego nicponia!"

"Hultaja spotkała zasłużona nadgroda"! wołał w złości pan Wanderstraten, nie mogąc przebaczyć dozorcy, że dobrego swego i zupełnie ufającego mu pana tak haniebnie zdradził. "Zapomnijmy o nim, a pomyślmy raczej w jakiby to sposób ochronić się przed zatrutemi strzałami i zachować od głodowej śmierci. Cicho! czy słyszysz ten okropny krzyk — postępują naprzód — Emeryku ratuj mnie, ratuj swego wuja!"

Na to pierwsze zaraz dzikie hasło bojowe, jakie doleciało uszów jego wybiegł Emeryk ze spiżarni i pobiegł po schodach na dół do obrońców pałacu, od których męztwa i wytrwałości li jedynie cały ratunek teraz zawisł. Herkules tymczasem w nieobecności Emeryka poczynił już wszystko, coby tylko dodawać mogło otuchy czarnym jego braciom.

"Dobrze mierzyć!" wołał właśnie w chwili kiedy Emeryk nadbiegł. "Każdy z was niech celuje do jednego z nich, a strzelać dopiero wówczas, kiedy staną przy domie. Bijecie się nietylko za dobrego, młodego Massę, ale także za wiarę i łaskawego Boga! Jeżeli mężnie będziecie bić się. Massa Wanderstraten nie będzie więcej dokuczać niewolnikom — chrześcianom, ani też prześladować ich księży! Dalej ognia!"

Zatrzeszczały strzelby, a potok ognisty wylał się z potłuczonych i brzęczących okien na gęstą zgraję nieprzyjacielską, posuwającą się pod mury pałacu, szerząc w tejże śmierć i przestrach. Ośmnastu, czy dwudziestu, potoczyło się na ziemię, wielu innych zostało ranionych, a reszta cofnęła się daleko, aby ją kule dosięgnąć nie mogły. Herkules patrząc na to, śmiał się i wołał:

"Dosyć mają na tę noc. Nie wrócą pewnie przed rankiem:"

Emeryk przystąpił obecnie do niego i podziękował mu za gorliwość, ale dziękował z taką jakąś zakłopotaną miną, że nieuszło to baczności murzyna.

"Massa obawia się?" zapytał. "Niema powodu do obawy. Nieprzyjaciel nie zdoła dostać się do pałacu, my strzelać będziemy wszystko co się tylko zbliży. Sami waleczni z nami."

"O tem wiem Herkulesie, i nie obawiałbym się niczego, gdybyśmy tylko z tym nieprzyjacielem co tam zewnątrz stoi, mieli do walczenia," odpowiedział Emeryk, cichutko zaś dodał: "Odprowadź mnie do pokoju wuja, mój przyjacielu. Mam z tobą do pomówienia o czemś, co tak długo powinno zostać tajemnicą dla innych, aż znajdzie się środek, który potrafi uchylić to nieszczęście."

Herkules kiwnął głową, polecił obrońcom jak najpilniej czuwać, i poszedł za przyjacielem do pokoju, w którym i pana Wanderstraten zupełnie zwątpionego zastali. Blady, z założonemi rękami siedział w swem krześle z poręczami, i na przemiany to złorzeczył dozorcy, to znowu skarzył się na nieszczęśliwe położenie. Emeryk starał się pocieszyć go, nie najlepiej jednak wiodło się to. Następnie zwrócił się do Herkulesa, i w kilku słowach opowiedział mu o niedogodnościach jakie ich czekają z powodu, że ta mała twierdza nie jest zaopatrzona w żywność.

"Pewnie, że to bardzo źle" — zauważył murzyn i zamyślił się, — głodni biją się niedobrze, ale cóż robić?"

"Musimy starać się zaradzić temu Herkulesie!" odpowiedział Emeryk. "Czyby też nieudało się dopaść magazynów, i ztamtąd parę worów ryżu tutaj przynieść?"

Herkules potrząsł głową. "Nieprzyjaciel na około! ukradkiem przemknąć się niepodobna, obaczą, złapią i zabiją. Bardzo źle!"

"Ale spróbować przynajmniej potrzeba koniecznie, — odezwał się obecnie sam pan Wanderstraten. — Bez żywności, bylibyśmy już całkiem zgubieni."

Herkules ruszył ramionami. "Zgubieni także, jeżeli wyjdziemy z domu. Nieprzyjaciół bardzo wiele, a wszyscy patrzą bystro. Niebędzie można przekraść się. Trzeba poczekać do rana, może nieprzyjaaiel odejdzie widząc, że sami waleczni w pałacu. Jeżeli zaś nie, zrobimy wycieczkę, może przebijemy się, a może i nie. W każdym razie umrzemy jak wojownicy."

"No, ale tem wcale mnie nieprzysłużycie się! jęknął pan Wanderstraten. "Ja wolę raczej żyć i żyć jak najdłużej. O Mikołaju, jak mogłeś dobrego twojego pana tak nieszczęśliwym uczynić!"

"Herkules nie wie, jak można żyć bez pożywienia, ależ jak znowu przejść pomiędzy nieprzyjaciołmi bez bitwy?" mówił murzyn.

Emeryk podczas tego stał spokojnie i namyślał się. "Ja także widzę w tem kłopotliwem położeniu tylko dwa sposoby ratunku — zagadnął — a obydwa są nie tylko za nadto śmiałe, lecz i co do skutków nie bardzo pewne. Żołnierze którzy dziś rano opuścili plantacyę nie mogą być ztąd zbyt daleko. Jednemu możeby i udało się prześliznąć pomiędzy szeregi oblęgających. Gdyby udało się, bylibyśmy uratowani. Posłaniec bowiem ten dopadłby żołnierzy, ci nawróciliby i pospieszyli nam z pomocą. Jutro przed wieczorem mogliby już tutaj być, a do tego czasu wystarczą pozostałe w spiżarni owoce na wyżywienie."

"Bardzo dobrze," zagadnął pan Wanderstraten, — lecz kto zechce być tak nierozsądnym i narażać się na pojmanie od nieprzyjaciela i podarcie w kawały?"

"Ja sam kochany wuju, odpowiedział Emeryk. Z miłą chęcią wystawię się na niebezpieczeństwo, zaryzykuję własne życie, aby twoje i tylu poczciwych ludzi uratować. Uda się — dobrze! Nieuda się, w takim razie umrę, ale z przekonaniem, żem wypełnił mój obowiązek."

Jakkolwiek samolubem był pan Warderstraten, mimo to jednak potrafił uszanować tę szlachetność siostrzeńca, i poświęcenia się takiego nie przyjął. Wzruszony do głębi powstał, a przycisnąwszy go do piersi swych zawołał:" Nie młodzieńcze, to być nie może. Jeżeli już koniecznie umierać mamy, umierajmy przynajmniej razem. Ty twego wuja nieopuścisz!"

(Ciąg dalszy nastąpi)

PRZEŚLADOWANA.

KROTOFILA W JEDNYM AKCIE DLA SCENY POLSKIEJ

EDMUNDA DRZEWIECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Dama.

O proszę nie zważaj pan na mnie, rób tak jak gdybyś był sam wdomu (*kładzie kapelusz i salopkę na fortepianie*).

Piotr *(kłaniając się).*

Dziękuję za łaskę! Ale poczekaj pani (bierze kredę ze stolika i prowadzi linią od tylnej dekoracyj do budki suflera przez środek.)

Dama.

Co pan robisz?

Piotr.

Robię granicę i dzielę moją prowincyją od paninej. — Pani tam ja tu!—

Dama.

Bardzo dobrze.

Piotr.

Linia ta będzie ziemią nautralną, tylko proszę, abyś pani nie wystawiała ocznych bateryj, bo musiałbym kapitulować!—

Dama.

A to doskonale. Jestem więc w moim pokoju (*rzuca się na fotel*) Żegnam pana.

Piotr.

Sługa uniżony.

Dama.

Życzę panu przyjemnych marzeń!

Piotr *(odwraca się do niej plecami n. str.)*

Teraz nie dostanie już odemnie żadnej odpowiedzi. Szkoda że nie ma gazety (*bierze książkę*) Ale Historyja o zbójcach i rycerzach.

Dama *(odwróciła swe krzesło także plecami do Piotra).*

Mój panie.

Piotr.

Niema mnie w domu.

Dama.

Wolno zapytać, jak się pan nazywasz?

Piotr *(czyta głośno.)*

"Rycerz Kuno z Kyburga — albo."

Dama.

A pańskiem zatrudnieniem?

Piotr *(j. w.)*

"Morderstwo niewinnych"

Dama.

Czy nienawiść przeciwko kobietom rzeczywiście gra u pana główną rolę. —

Piotr *(j. w.)*

"Rozdział pierwszy."

Dama.

Dawno mieszkasz pan tutaj?

Piotr.

W trzynastem stuleciu stał w Turyngu zamek Kyburg nazwany — Obecnie, nie pozostało nic z niego tylko ruiny. — Puszczyki i nietoperze obrały tu sobie mieszkanie, gdzie kiedyś w przecudnych złoconych salach, tańczyli rycerze z hrabiankami" (*czyta dalej mrucząc*).

Dama.

Nie daje mi żadnej odpowiedzi — A (*fortepian otwarty*) biegnie, zdejmuje rękawiczki i kładzie je obok rękawiczek Piotra, siada i zaczyna grać.

Piotr *(Obraca się, skoro ona spojrzy na niego chowa się).*

E! to wykształcona kobieta: Umie grać na fortepianie Teraz gra utwór Liszta, Quatra a deat mains. Chce mnie Lisztem wziąść na kawał. — Nie mogę słuchać tych fantazyj, gdyby lepiej zagrała jaką pieśn ludową. — (*Przestała grać.*)

Dama.

Masz pan słuszność. Piosneczka prosta ludowa najbardziej przemawia do serc.

Śpiewa. Piotr jej wtoruje.

Mała chatka przy dolinie
W której strumyk płynie
Łączka na potrzeby swoje
To bogactwa moje.

Piotr.

Brawo! brawo pani śpiewasz cudownie

Dama.

Pan sekundujesz doskonale (*chce przyść do Piotra.*)

Piotr.

Uważaj Pani na granicę. O piosneczka taka, to z serca aż w stopy idzie. Umiesz pani więcej takich piosneczek?

Dama.

O bardzo wiele.

Piotr.

Doprawdy? (*chce przejść do niej!*)

Dama.

Stój pan! Zapomniałeś o granicy.

Piotr *(zatrzymując nogę w powietrzu.)*

A prawda zapomniałem. Ale posłuchaj pani. Jakkolwiek zawarliśmy umowę obowiązującą przez całe wieki nie przekraczać granicy i ponieważ te wieki trwają już 5 minut, dla tego ja pozwalę sobie przyść do pani i zrewidować jej prowincyją. — To się nazywa prawem Europejskiem. (*Stuka palcem po scenie jak do drzwi.*)

Dama.

Proszę! —

Piotr *(przechodzi.)*

Dzień dobry! Pozwolisz sobie powiedzieć łaskawa sąsiadko, że jestem zachwycony jej śpiewem. —

Dama *(dygając.)*

O wielki z pana pochlebca panie sąsiedzie.

Piotr.

Mój Boże! gdybym to miał kogo coby mi codziennie podobne śpiewał piosneczki, niechodziłbym do cukierni, kawiarni, na żadne wieczorki, bale, bilardy, siedziałbym w domu jak przykuty.

Dama.

Jaka to szkoda że nie jestem pańską siostrą. — Albo nie masz pan czasem syna któryby mógł być moim małżonkiem.

Piotr.

Za pozwoleniem pani. Czyż ja wyglądam na człowieka mającego już takich synów którzyby się żenić mogli. Jestem sobie w najpiękniejszych latach, zakonserwowany doskonale, ja łaskawa pani, sam się jeszcze żenić mogę.—

Dama *(śmiejąc się.)*

Pan nieprzyjaciel kobiet?

Piotr.

Bo proszę pani, miałem do tego ważne powody: Wyobrażałem sobie zawsze żonę gderliwą, kłótliwą, wiecznie mruczącą, a nigdy jako słodką, śpiewającą jak słowiczek.— Gdybym więc znalazł taką, która by nigdy nie kłóciła się, ale zawsze tak mile śpiewała.

Dama.

Czyż nie możesz się pan postarać o konsens.—

(Ciąg dalszy nastąpi.)